

Cofam się niekiedy do czasów zamierzchłych, czyli do okresu mojego dzieciństwa napiętnowanego skutkami tyle co zakończonej okupacji niemieckiej. Doświadczenia okupacyjne mojego ojca opisałem już w pewnym zakresie w książce „Odłamki czasu”. Znam je z rodzinnych opowiadań snutych o szarej godzinie. Od słuchania tych mrożących krew w żyłach opowieści rosła we mnie nienawiść do Niemców i pogarda dla Ruskich. Nikt mnie tej nienawiści nie uczył, nie nakazywał. Tworzyła się sama z siebie. Nabierała mocy od świstu kul przelatujących nocą ponad głowami szabrowników, pośpiesznie obdziegujących kiście owsianych ziaren na polach dziedzica. Kiedy lada szmer mógł sprowokować żandarmów pilnujących dojrzewających zbóż, zbieranych potem w trudzie przez miejscowych na potrzeby okupanta.

Czułem ten strach trudny do opisania tak, jak bym wtedy był tam z nimi. Oni się tej paraliżującej niekiedy bojaźni nie mogli pozbyć. Musieli się z nią zmierzyć, stłamsić w sobie, a była tak mokra i lepka, że im koszulę kleiła do pleców. Przenikała całe ciało i wywołując podskórne dreszcze. Czarna noc była ich opiekunką, a księżyc zdrajcą, kiedy znienacka wychynał zza chmur. Worki napełnione ziarnem dźwigali po wertepach, aby się nie natknąć na niemiecki patrol. Ukrywszy wyszabrowany łup odsypiali nocny wypad w stodołach.

Okupant zabierał wszystko. Żeby przeżyć trzeba było kraść, a za kradzież groziła śmierć. Taka sama kara czekała na tych, co by się odważyli ubić własnego świniaka. Mięso było legalnie dostępne tylko dla okupantów.

Niespełna 10 kilometrów dzieliło Wolę Krzysztoporską od wytyczonej przez Niemcy nowej granicy Wielkiej Rzeszy. Tam też mieszkali Polacy, a prawo było mniej drastyczne. To czego tu brakowało tam było dostępne. W ciągu jednej nocy ciemnej wojenni przemytnicy przekraczali granicę. Zakupioną od gospodarza świnię ubijali w jego oborze. Po wypatroszeniu ćwiartowali tuszę i z ciężkimi workami na plecach ruszali w drogę powrotną, co rusz odpoczywając i omijając wcześniej rozpoznane posterunki żandarmerii. Musieli zdążyć przed świtem. I zdążali. Wola jadła przynajmniej co jakiś czas mięso, mimo tego, że były to czasy najczarniejszego hitlerowskiego terroru. Dzięki tym dzielnym mężczyznom my dzieci wojny nie wyrosliśmy na rachitycznych ułomków lecz na chłopców, którzy po wojnie pokonczyli szkoły i popchnęli do przodu polską cywilizację. Czułem dumę, że tym fenomenom ryzyka przewodził mój ojciec.

Trudno by powiedzieć, że Polacy mieli jakiś szacunek dla niemieckich okupantów. Dominował raczej strach pogłębiony rozstrzelaniem kilku mieszkańców Woli po krwawej bitwie na wzgórzach zwanych Borowskimi, gdzie najeźdźcy ponieśli dotkliwe straty w ludziach. Ten strach zawierał w sobie także respekt dla Niemców, jako dla narodu stojącego na wyższym szczeblu cywilizacyjnego rozwoju. Tego niemieckim wrogom odmówić nie było można. Co innego Ruscy, Radość z ucieczki Niemców natychmiast zepsuły hordy radzieckich wyzwolicielei. Ugrupowanie Armii Radzieckiej, które zajęło wieś rozlokowało swoich żołnierzy na prywatnych kwaterach. Kuchnia polowa ulokowana na podwórku Pisarków wydała żołdatom jakiś niezbyt obfity posiłek, więc na kwaterach żądali od gospodarzy jadła i samogonu. Opornych przymuszali lufami karabinów. Mojemu dziadkowi Wojciechowi przydzielono na nocleg czterech krasnoarmiejców. W domu niewiele było do jedzenia. Zima ciężka była, a do wiosny daleko.

Część skromnych zapasów w tym zboże na zasiewy zdążył Wojciech ukryć przed nieuniknioną kontrybucją na rzecz wojska. Nie mógł jednak nie ulec żądaniom zdeprawowanych żołnierzy, którzy potrafili z niesłychaną łatwością naciskać na spust pepeszy wycelowanej w sprzeciwiającego się im Polaka. Na

głośne żądanie – Chadziajka kartoszkę dawaj i sało! Babcia Marianna w niemałym pośpiechu ustawiła na kuchni spory sagan z ziemniakami i żwawo podkładała drewno do ognia, z trwogą obserwując co rusz okazujących zniecierpliwienie radzieckich. Nieproszeni goście domagali się też samogonu. Wojciech sam nie pijący tej bebeluchy skoczył co rychło do “źródełka” i wrócił z okazałą banieczką bimbru. W ten sposób wprowadził w zachwyt kłopotliwych sojuszników. Zachwyt ów rósł w miarę jak ubywało trunku i ziemniaków z odrobiną omasty wypełniających dużą miskę stojącą na stole. Było coraz głośniejsze, a chwilę później rozpoczęły się śpiewy przerywane krzykami grozącymi frycom i innym faszystom. Zaczęło być niebezpiecznie. Chcąc ratować dom przed dewastacją Marianna odważyła się interweniować u lejtnanata.

Dowódca zrugął kamratów. Spokój nie trwał jednak długo. Wkrótce po wyjściu oficera nastąpił finał sojuszniczej imprezy w domu moich dziadków. Choć była zima, przerażeni gospodarze uciekli z domu w lekkich ubraniach, w chwili kiedy radzieccy zaczęli rzucać po mieszkaniu granatami. Na szczęście były prawidłowo zabezpieczone i do nie doszło do wybuchu, który ani chybi wysadziłby w powietrze nowy, murowany, z takim trudem wybudowany przez Wojciecha dom. Noc nieprzespaną z obawy o dobytek spędzili po sąsiedzku w domu Gąsiorów. Przed świtem odważyli się wrócić. Po otwarciu drzwi uderzył ich w powonienie ostry zapach moczu. Na deskach kuchennej podłogi leżało czterech śpiących głębokim snem wyzwolicieli, a każdy z nich spoczywał ciężkim, pijackim snem w sporych rozmiarów kałuży.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wdajcz, dodano 09.02.2023 19:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.